

Przyleciała jaskółeczka. Powieść

Iren Rozdobudko

ОЗНАЙОМЧИЙ ФРАГМЕНТ

© Видавництво «Богдан». Усі права застережено.

Фрагмент надано для ознайомлення. Повна книжка — nashaknyga.com.ua

1

Dom opieki, USA.

Grudzień 1997.

—...jest w tym coś niesprawiedliwego. Coś, co niweczy cały sens życia. Unieważnia wszystkie aspiracje, pragnienia, uczucia, walkę o miejsce pod słońcem, miłość do bliskich. Kiedy widzisz to umieranie każdego dnia, myślisz: czy jest w tym jakaś sprawiedliwość? I tracisz sens wszystkiego. Wszystkiego! Myślisz: po co to wszystko — starania, cierpienia, zwycięstwa i sukcesy? Jaki to ma sens? Tracisz wiarę w istnienie Boga, ponieważ On nie przemyślał ostatecznego wyniku.

— Staram się o tym nie myśleć. Po prostu wykonuję swoją pracę. Nie martw się o to. Nie jesteśmy wieczni, jest tylko jeden koniec...

— Tak. Ale dlaczego taki jest ten koniec? Co zrobiliśmy, żeby tak było? Nadciśnienie. Dusznosc. Arytmia. Tachykardia. Alzheimer...

— Cóż, nie dla wszystkich! Spójrz na pana Nicholas z pokoju trzydzieści sześć! Ma dziewięćdziesiąt dziewięć lat, a głowę świeżą jak poranek. Nawiasem mówiąc, wciąż potrafi przeklinać. Kiedy mówi coś w swoim języku, od razu rozumiesz: przeklina! I to pewnie poważnie, bo mamrocze przez co najmniej minutę. Nawet się tego nauczyłam: „Dzidźka łysoho”. Szkoda, że nie wiem, co to znaczy. I nie pozwala, żebym zabierała go na imprezy. Mówi, że nudzą go amerykańscy starszokowie. Jakby nie był Amerykaninem!

— Pan Nicholas jest jedyny w swoim rodzaju. Ale oto kolejna tragedia: słabość ciała i jasność umysłu. To jest jeszcze gorsze: ciało jest szmatą, a dusza jest młoda. To ostry dysonans. Napawa goryczą. Jednym słowem, bez względu na to, jak się to pokroi, okazuje się to, przepraszam, bzdurą!

Kazano im się uciszyć.

Pielęgniarka i sanitariusz spojrzeli po sobie i zamilkli, obserwując chór zbierający się na prowizorycznej scenie.

Najpierw ustawił się pierwszy szereg. Jeśli można to nazwać szeregiem.

Pan Pete wjechał na wózku inwalidzkim.

Pani Christensen przeszła obok niego, opierając się ciężko na czworonożnym chodziku.

Trzeci był pan Willis, wsparty na kuli.

Drugi szereg składał się z siedmiu „wolnych spacerowiczów”.

Zostali oni ustawieni przez przełożoną opiekunek zgodnie z wymaganiami pana Greenwaya, byłego dyrygenta i faktycznego szefa chóru amatorskiego: basy po lewej, tenory po prawej. Następny szereg, „młodzież”, to sześćdziesięciokilkulatkowie, którzy zajęli miejsca na podium, pięćdziesiąt centymetrów nad drugim szeregiem.

Prowadziła ich pani Mary Orlade, primadonna chóru. Miała na sobie szyfonową sukienkę i futrzane bolerko: ze strzyżonych nerek wystawały figlarne ogony arktycznych lisów. Jej niebieskie włosy były starannie ułożone w gęste loki na całej głowie, usta pomalowane na czerwono, a w uszach miała diamentowe łezki. Jej adorator, pan Golding, zamożny wdowiec, bon vivant i patron tego zespołu, patrzył na nią i uśmiechał się.

W rzeczywistości wszyscy chórzyści wyglądali odświętnie. Mężczyźni ubrani byli w garnitury z motylami, kobiety miały rzędy pereł, a w ich włosach błyszczwały ozdobne spinki. Wszyscy pachnieli perfumami.

Pokój wypełniał aromat kawy i choinki, która była powoli dekorowana przez opiekunki.

Za szerokimi oknami — czystymi i przejrzystymi — powoli wirowały płatki śniegu, przypominając, że święta Bożego Narodzenia już za kilka dni.

W takich chwilach dom opieki był przynajmniej w jednej trzeciej pusty. Dzieci i wnuki zabierały pensjonariuszy na „wakacje” nad ciepłe morza, niektórzy wyjeżdżali sami, otrzymawszy dyspensę od głównego lekarza i zalecenia na wypadek przykrych niespodzianek z ciśnieniem.

Ci, którzy zostali, by świętować na miejscu, musieli przeciwżyć swój tradycyjny występ bożonarodzeniowy dla krewnych i gości.

Od końca listopada pan Greenway codziennie zbierał swoją śpiewającą armię, układając głosy, nakazując „trzymać dźwięk” i „dawać znać tylnemu szeregowi”, dopóki nie miał wystarczająco przyzwoitego chóru, którego nie wstydziłby się zaprezentować publiczności podczas świąt.

Pan Greenway stuknął batutą w pulpit.

— Śpiewamy, panowie. Skoncentrujmy się na „mi”.

— Mi-mi-mi... — chórzysci próbowali trafić w nutę, która była nieuchwytna dla ich chrapliwych głosów.

Dopóki pan Greenway nie kazał im przejść do „la”.

Trwało to pół godziny; w tym czasie zrobiono przerwę na masowy pomiar ciśnienia krwi i zażarte kłótnie na temat szczęśliwców, którzy będą lepiej widoczni w pierwszym szeregu. Pani Ortlade musiała przesiąść się na wózek inwalidzki, aby się tam dostać.

Kiedy wszystkie spory zostały zakończone, rozpoczęła się „ostateczna próba”.

Pan Greenway podniósł ręce i dał pierwszy znak:

— Ta-ta-ta-ta!...

Chór wziął głęboki oddech i już miał zrobić wydech, odtwarzając dźwięk, gdy do pokoju trafił kolejny mieszkaniec.

Ten sam, o którym mówili pielęgniarzka i sanitariusz — pan Nicholas.

Prowadziła go panna Jenny, o czarnej skórze i wielkich oczach, która jako jedyna potrafiła przekonać kapryśnego starca do spaceru po korytarzu.

Szeptała coś do owłosionego ucha starszego pana o świątach, indyku, śniegu, który w tym roku pokrył całą okolicę, o choince, którą koniecznie powinien zobaczyć na własne oczy, i o niespodziance, którą przygotował dla niego chór.

Nogi starca owinięte były w kraciasty koc, jego sztywne, długie palce kurczowo ścisnęły ramiona wózka, jakby chciał wstać, a cienka, wiotka szyja o skórze szorstkiej jak kora drzewa z trudem utrzymywała ciężką głowę.

Oczy pana Nicholasa były na wpół zamknięte. Wyglądał, jakby spał albo udawał skrajną obojętność.

Pielęgniarka i sanitariusz spojrzeli po sobie i skinęli na Jenny. Ta postawiła wózek przed chórem i przeprosiła pana Greenwaya za hałas.

Pan Greenway skinął głową i machnął rękami. Twarze chórzystów rozświeciły się jak latarnie na ciemnej ulicy, zanurzając się w świat melodii z całą pasją, która wciąż kipiała pod ich wzruszającymi, kruchymi ciałami.

Panna Jenny nachyliła się do ucha staruszka: „Nicholasie, kochany, ta piosenka jest dla ciebie!”. A chór odpowiedział donośnie:

Hark how the bells,
sweet silver bells,
all seem to say,
throw cares away
Christmas is here,
bringing good cheer,
to young and old,
meek and the bold!

Pilnie zaokrąglając usta i figlarnie mrugając oczami, chórzyści, o dziwo, śpiewali zaskakująco dobrze, uważnie podążając za gestami dyrygenta.

Posłuchaj, jak dzwonki,
słó dkie srebrne dzwonki,
wszystkie wydają się mówić:
od rzuć troski.
Święta są tutaj,
wnoszą dobry nastrój

młodym i starym,
potulnym i śmiałym!

Panna Jenny była tak zajęta słuchaniem, że nie zauważyła, jak głowa jej klienta drgnęła, jakby siedział na krześle elektrycznym, a jego palce ściskające poręcze wózka zbieleły.

Merry, Merry, Merry, Merry Christmas,
Merry, Merry, Merry, Merry Christmas...

Pani Ortlade jako pierwsza zauważyła incydent.

— Panu Łeontowyczowi jest niedobrze! — wykrzyknęła, przerywając śpiew.

Chór zamilkł.

Starzec sapał, łapiąc powietrze.

Jenny krzyknęła, pochyliła się nad wózkiem.

— Panu Łeontowyczowi jest niedobrze! — rozległo się w salonie.

Sanitariusz, pomagając koleżance, chwycił za uchwyty wózka i potoczył go w kierunku wyjścia.

Jenny dopasowywała do ust starca maskę tlenową, którą zawsze trzymała w pogotowiu.

— Lisa, Steve! Atak serca! — krzyknęła Jenny. — Na pogotowie!

Chór zaczął krzyczeć bezładnie w reakcji na to wydarzenie.

— Trzymaj się, Nicholasie! — zawołał pan Pete.

— Jest pan optymistą, Pete — powiedziała ironicznie pani Christensen, poprawiając włosy. — Pan Łeontowycz ma prawie sto lat.

— Przeżyje nas wszystkich — powiedział z zazdrością pan Willis.

Dyrygent stuknął batutą w pulpit. Ponownie podniósł ręce.

— Proszę państwa! Kontynuujmy...

Ślą i ślą

bez końca

radosny dźwięk do każdego domu!

Ding-dong...

• • •

Далі — у повній книжці «Przyleciała jaskółeczka. Powieść».
nashaknyga.com.ua